

Andrzej Horubała: Konwicki nieoczywisty

„Polsce, wkraczającej w szalony czas „Solidarności” prowadzący ku Niepodległej, ofiarował dwie wydane poza cenzurą powieści – «Kompleks polski» i «Małą Apokalipsę», będące pokrętnym, ale jednak, wyznaniem win i ostrzeżeniem przed zdeprawowanymi elitami” – pisze Andrzej Horubała o twórczości Tadeusza Konwickiego. Teksty Andrzeja Horubały publikowane w nowej serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

KONWICKI NIEOCZYWISTY

„Ty jesteś chwilowym literatem. Twoje książki umrą wraz z tobą”.
(„Kompleks polski”)

Pisałem młody gniewny w pierwszej dekadzie niepodległości: „Kogóż interesują dziś wyznania upodlonych inteligentów? Kogóż interesuje geografia Krakowskiego Przedmieścia i Warszawa oglądana w pijanym widzie przez życiowych bankrutów?” (Andrzej Horubała, „Marzenie o chuliganie”, Wydawnictwo Casablanca Studio, 1999 r., s. 202-203). Faktycznie, imaginowałem sobie wtedy bibliotekę dla wolnej Rzeczypospolitej i nie widziałem na niej miejsca dla literatury zniewolonych. Zachłystywałem się witalnością Andrzeja Bobkowskiego, surowością Herlinga-Grudzińskiego, wraz z rówieśnikami naiwnie radowałem zwycięstwami Leopolda Tyrmanda na warszawskich prywatkach w roku 1954.

Wydawało się, że Konwicky towarzyszący nam w końcowych latach peerelu, ten wspaniale wykreowany Konwa, który narzucił się nam z całą swoją osobowością, który stał się krajowym prozaikiem numer jeden, na zawsze pozostanie uwięziony w nędznej historii najweselszego ponoć baraku demoludu.

Wydanie w serii Biblioteki Narodowej w jednym tomie dwóch powieści Tadeusza Konwickiego – „Kompleksu polskiego” i „Małej Apokalipsy” ze wstępem i w opracowaniu Przemysław Kanieckiego to świetna okazja, by zastanowić się, co przetrwa w historii literatury polskiej z twórczości tego pisarza.

Czy będą to właśnie te powieści z końca lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, wieńczące w pewien sposób długą drogę do samowyzwalania się twórcy, czy też może będzie to hołubiony w latach sześćdziesiątych „Sennik współczesny”? A może, paradoksalnie, ocaleje antypowieściowy „Kalendarz i klepsydra”?

Oczywiście stawianie takich diagnoz obarczone jest sporym ryzykiem, zresztą dzisiaj dominują dawne nieco wyblakłe oceny i hierarchie, a dziś nie tyle czytamy Konwickiego na nowo, co raczej wspominamy akt lektury sprzed lat i przywołujemy skojarzenia z minionej epoki.

„Kompleks polski” i „Mała Apokalipsa” to na pewno powieści będące pod wieloma względami ukoronowaniem drogi twórczej Konwickiego – dotarł w nich do ostatecznych rozstrzygnięć i dokonał przełamania własnych zaniechań i zawiesznień.

Zresztą, taka była dynamika tego „złotego wieku” krajowej kultury polskiej (1956-1981): wielu artystów właśnie dochodząc do Sierpnia znajdowało się w apogeum swych możliwości twórczych, domykając pewne tropy, przewyżając niemożności, osiągając pełnię. Działo się tak przecież nie bez związku z klimatem społecznym i z czynnikami politycznymi w tym naszym peerłowskim księstwie warszawskim, państwie o częściowej suwerenności i częściowej wolności twórczej.

Niezwykłe przyspieszenie historii, jakiś skokowa zmiana świadomości społecznej, skumulowanie wielkich impulsów: zmiana klimatu międzynarodowego, wybór Karola Wojtyły na papieża i jego pierwsza pielgrzymka do ojczyzny, obchody sześćdziesięciolecia odzyskania państwowości i towarzyszące temu znaczące wydarzenia artystyczne – wielka wystawa „Polaków portret własny”, spektakle teatralne celebrujące dojrzewanie do przełomu – „Sen o bezgrzesznej” i „Z biegiem lat, z biegiem dni”, narodziny obywatelskiej opozycji, pojawienie się niezależnego obiegu wydawniczego i artykułowany wprost postulat niepodległości, ferment wśród młodzieży z fenomenem ruchu oazowego na czele – to tylko niektóre elementy zapowiadające nadejście nowego.

Dwie opowieści

Co można powiedzieć z pewnością? W 336 tomie pierwszej serii Biblioteki Narodowej, w którym wydano obie powieści Konwickiego, jak diamenty lśnią dwa opowiadania z czasów powstania styczniowego. Wyłaniają się ponad poziom peerelowskiej brei i bełkoczących nieszczęśników. I pewnie to one zostaną z „Kompleksu polskiego”, którego akcja współczesna rozgrywa się w wigilijny dzień w kolejce do jubitera po ruskie złoto: dwa dygresyjne niejako, ale pełniące zasadniczą rolę, jeśli idzie o wymowę powieści, obrazy z roku 1863. Zarówno relacja przyrządzona na podstawie autentycznych pamiętników Zygmunta Mineyki, jak i imaginowana opowieść o spędzonej w prowincjonalnym hoteliku pożegnalnej nocy Romualda Traugutta i jego żony.

Są to partie absolutnie wyjątkowe na tle dotychczasowej twórczości Konwickiego, partie podważające poprzednie dzieła i ujęcia, i sytuujące jego przekaz w rejonach dotychczas omijanych lub kwitowanych gorzką ironią czy szyderstwem. Odrębne stylistycznie, wyróżniające się ze współczesnego słowotoku, są jak powiew świeżego powietrza wpuszczony do zapoconych wnętrz, zatęchłych klatek schodowych i zadymionych knajp.

*Dzieje Zygmunta Mineyki
niefortunnie dowodzącego
powstańczym oddziałem na
Litwie stają się figurą, przez
którą Konwicki odczytuje swą
własną biografię*

Ta pierwsza rzecz, o
Mineyce, napisana w
drugiej osobie liczby
pojedynczej, będąca
monologiem
skierowanym ze
środka i końca
dwudziestego wieku
ku swemu
rówieśnikowi z

czasów powstania styczniowego („Miałeś dwadzieścia trzy lata. Byłeś starszy ode mnie o pięć lat i młodszy o osiemdziesiąt” BN, s. 65) jest przejmującym świadectwem przeżywania, zrozumienia i akceptacji polskiego losu. Dzieje Zygmunta Mineyki niefortunnie dowodzącego powstańczym oddziałem na Litwie stają się figurą, przez którą Konwicki odczytuje swą własną biografię. Zwraca się mądrzejszy, a może tylko bogatszy, o doświadczenia XX wieku, do swego brata z minionego wieku i widzi w jego szamotaninie, ale i przekonaniu o patriotycznym obowiązku, przesłanie niezatarte. Po wielokroć odsyła dwudziestotrzyletniego Mineykę i czytelnika do swych gorzkich przeżyć opisanych w tuż powojennych „Rojstach” i przebijających się od czasu do czasu w kolejnych powieściach, do świadomości toczenia beznadziejnej walki, do realizacji szlacheckiego czy też inteligenckiego etosu. To, co dawniej pod piórem Konwickiego było przedmiotem drwiny albo domeną rozpacz, tu, zestawione z doświadczeniem wcześniejszych pokoleń Polaków, zostaje oświetlone jakimś prawie mistycznym światłem dziejowej konieczności i wypełniania polskiego ethosu.

Zygmunt Mineyko – wzięty zrazu przez jego matkę za ducha, przybywa do domu, który jest zarazem jego mieszkaniem z dzieciństwa, chatką z mickiewiczowskich „Dziadów”, jak też domem rodzinnym samego pisarza. „Ja również pamiętam tę kuchnię z ogromnym piecem, w którym można było upiec dziesięć bochenków chleba albo ugotować strawę dla tłumu głodnych. Pamiętam ten stary kredens, co rozdzielał kuchnię na dwie połowy i pamiętam to wyrko z kredensem, na którym ty, a może także ja, na którym my obaj śniliśmy o niezwykłym naszym życiu, o naszym olśniewającym losie, o naszym wyjątkowym przeznaczeniu” (BN, s. 42).

W szczegółach, w uderzających zbieżnościach odnajduje narrator wspólnotę z Zygmuntem. Te same gesty na pożegnanie powstańca ruszającego w bój i błogosławieństwo starym krucyfiksem: „ja także grudniowej nocy z tym samym posłaniem pójdę ośnieżonymi drogami polnymi, pójdę osiemdziesiąt lat po tobie spełnić swój dwuznaczny i nigdy nie dokończony los”. (BN, s. 45)

I także późniejszy marsz przez litewską puszcę doskonale będzie współbrzmiał z opisami beznadziejnych partyzanckich wędrówek z „Rojstów” czy „Nic albo nic”.

Opisując historię Mineyki, Konwicki snuje opowieść o swych marzeniach i o sobie. Wzbogaca relację o erotyczne poruszenia korespondujące z tymi, o których fantazjował i w poprzednich powieściach: młoda mężatka spontanicznie całuje powstańca z miejsca zafascynowana jego osobą, tak jak czyniły to przeróżne tajemnicze i pozornie niedostępne kobiety za Gomułki i Gierka. I jak swoim bohaterom każe Mineyce czuć się źle, choro. Trzęsie się więc powstaniec od dreszczy z febry nabytej w Turcji.

„Pragnę przypomnieć sobie, o czym ja myślałem w podobnej chwili – pisze Konwicki, gdy wyrusza wraz z bohaterem w litewską puszcę. – Chcę odtworzyć ten nastrój i to samopoczucie, i owe rojenia z cudownej pory młodości (...) O czym myśleliśmy na tym niewidzialnym progu czasu? O sobie? O Polsce? Ja już niewiele pamiętam i nie umiem przywołać z umarłej, albo raczej zastygłej na wieki przeszłości tych mgieł niepojętego samozachwyty i pokory, zuchwałości i lęku, chciwej nadziei i lekkomyślnej niepewności. Nie umiem także przypomnieć sobie owej Polski, którą nosiliśmy w sobie jak przejmujący ból pierwszego skurczu naczyń wieńcowych. Polski bezcielesnej, Polski – hipnotyzującego widma”. (BN, s. 64-65).

I do imaginowanego Mineyki musztrującego dwudziestu ośmiu ochotników, którzy zjawili się zamiast obiecanych dwustu, zwraca się narrator: „I czułeś się wtedy dwudziestotrzyletnim ojcem tej gromadki

rówieśników, tak jak ja czułem się ojcem pięćdziesięcioletnich chłopów białoruskich. I ja przeżywałem te emocje wodzowskie, te uniesienia dominacji, te radości inicjującego się czynu”. (BN, s. 70).

Powracające motywy: śmierć młodego partyzanta, rozbiegnięcie się w panice oddziału, kolejne fantazje o miłości z lokalnymi kobietami, ale też kurtka fastrygowana w pośpiechu przez czułe dłonie matki pokazują jak Konwicky w relacji z roku 1863 odnalazł swe własne przeżycia, własnymi przeżyciami nasycił i poprzeplatał historyczne wydarzenia. I nie traktuje już siebie, jak to robił poczynając od „Rojstów”, jako skrzywdzonej ofiary ksiąg zbójceckich i polskointeligenckich fantazmatów i złudzeń, lecz postrzega po prostu jako reprezentanta kolejnego pokolenia bojowników o sprawę narodową.

I gdy w finale epizodu, zdradzony przez miejscowych, leży Mineyko spętany w furmance na zeschniętym nawozie i czyta z ust ex-zesłańca, który go wydał Moskałom, pytanie, ni to szydercze, ni filozoficzne: „Czy warto było?” – to czujemy, że dotykamy wielkiego polskiego mitu i że Konwicky przestaje oto wreszcie grać i dotyka rzeczy najświętszej.

A późniejsza opowieść o imaginowanym spotkaniu Romualda Traugutta z żoną Antoniną, Tonia, w obskurnym prowincjonalnym hoteliku tuż przed podjęciem przez niego przywództwa powstania, nie jest tylko retorycznym echem przejmującej opowieści o Mineyce-Konwicky. Owszem, deklaracja Traugutta, która pada w odpowiedzi na pytanie małżonki o sens powstania, deklaracja: „Nie wiem, czy był sens. Wiem, że był mus” (BN, s. 240), chętnie powtarzana jest w omówieniach „Kompleksu polskiego”, ale nie mniej istotny jest subtelny ton, jaki obiera Konwicky, by prowadzić opowieść o zgodzie na męczeństwo na ołtarzu sprawy narodowej. Widać, jak wypełnia się polskie przeznaczenie. Miłosna pożegnalna noc małżonków znów stanowi swoistą patriotyczną liturgię. Skrępowanie całą sytuacją, niezręczność w łóżku likwidują spodziewany patos, ale jednocześnie, pokazując intymną stronę bohatera i męczennika narodowej sprawy, szarpia jeszcze silniej.

Konwicki podtrzymuje romantyczną legendę dyktatora powstania i choć w rzeczywistości Traugutt brał władzę, licząc jeszcze na pomoc Francji i państw zachodnich, i nie szedł na pewną śmierć, to jednak autor „Kompleksu” uwydatnia mesjanistyczny, ofiarniczy wymiar jego narodowej służby i staje w jednym szeregu z apologetami czynu insurekcyjnego.

*„Kompleks polski” spotkał się
z niezwykle krytycznym
przyjęciem wśród czytelników
ze środowiska korowskiego,
którzy zarzucali Konwickiemu
staniecie w pół drogi i pisanie
z ducha peerelowskie*

O ile epizod z życia
Mineyki był
bezpośrednią
odповідzią i
domknięciem
rozliczeń z
partyzancką
przeszłością
Konwickiego, to
sceny z powiatowego

hoteliku, gdzie za cienkimi ścianami biesiadują rosyjscy żołnierze, także lękający się śmierci i pogrążeni w rozpacz, stanowią zdecydowany kontrast dla obrzydliwych scen rozgrywających się we współczesnej Warszawie w kolejce po ruskie złoto, na klatkach schodowych i melinach. Upodleni reprezentanci polskiego społeczeństwa – ubeci i wyklęci, którzy miast przygotować się do wigilijnej wieczerzy, czekają na złoto od sowieta... No tak, ale jak wyznaje powieściowy Konwa: „Moim przywilejem jest spóźnianie się na wigilię. Już wiele razy w ten wieczór odbywałem dalekie podróże, z których budziłem się w rysztoke” (BN, s. 180). Nie pierwsze to święto, na tle którego błakają się wyobcowani bohaterowie Konwickiego. We „Wniebowstąpieniu” były to dożynki, w „Nic albo nic” – Boże Ciało połączone z wizytą ważnego gościa z zagranicy, a tu – najświętsze i najbardziej polskie – Boże Narodzenie, do którego stojący w kolejkach skundleni nieszczęśnicy nijak nie mogą się dostroić.

Mimo tych dwóch literackich diamentów, zrywających z dotychczasową dykcją i kwestionującą ją, „Kompleks polski” spotkał się z niezwykle krytycznym przyjęciem wśród czytelników ze środowiska korowskiego, którzy zarzucali Konwickiemu staniecie w pół drogi i pisanie z ducha peerelowskie. Nie mylili się o tyle, że, faktycznie, „Kompleks polski”,

choć wydany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą jako trzeci numer „Zapisu”, początkowo przedkładany był cenzurze i tworzony jako powieść dla oficjalnego obiegu.

Na niedostatki płynące z samoograniczania się pisarza wskazywali zarówno Jacek Kuroń w czasie obrosłego legendą wieczoru autorskiego w salonie państwa Walendowskich 5 października 1977 roku, jak i Antoni Libera w tekście opublikowanym pod pseudonimem Andrzej Lieder na łamach „Aneksu”:

Po lekturze powieści i po zrodzeniu się owej wizji współczesnej „mszy narodowej”, będącej nawiązaniem do „Dziadów” mickiewiczowskich i „Wesela” Wyspiańskiego, natychmiast budzi się niedosyt. Przecież to jest za mało – odzywa się w nas głos rozczarowania – przecież to zbyt powierzchowne, tu są zaledwie tropy, sugestie, aluzje, nie ma zaś otwartej rozprawy, nie ma pełnego rozmachu, z jakim taka msza powinna być napisana. A dlaczego tak jest? A jest tak dlatego, że autor zatrzymał się w pół drogi. Że – być może częściowo świadomie, lecz częściowo już nie – wciąż podlegał mechanizmom kontrolująco-hamującym. Żeby to, o co w najgłębszej intuicji chodziło Konwickiemu (tak jak to odczytuję) wyszło, musiałby on kompletnie przestać się liczyć z istniejącymi warunkami wydawniczymi, czyli ponazywać wszystko po imieniu, czyli poprzywoływać zakazane oficjalnie sceny z najnowszej polskiej historii, czyli do lamentu i szlochu wprowadzić elementy trzeźwej i krytycznej świadomości, którą Polacy, choć na dnie duszy, posiadają przecież. Wówczas mielibyśmy do czynienia z dziełem prawdziwie pobudzającym, z dziełem-kamieniem milowym, i – jeśli nawet mylnym, to na pewno pełnym, skończonym, zamkniętym. A tak mamy przed sobą twór nieco skarłały, zadławiony, tknięty paraliżem. Twór na podobieństwo przyduszonych bohaterów, którzy nie mówią do siebie normalnym językiem, lecz półsłówkami, niedopowiedzeniami, mrugnięciami oka.

Ta skaza „Kompleksu polskiego” wiąże się z szerszym zagadnieniem, dotyczącym już nie tylko twórczości Konwickiego, ale pewnej całej konwencji czy formacji

intelektualno-pisarskiej, jaka zrodziła się po 56-tym roku i której piętno do dziś dnia znać u innych pisarzy. Chodzi mi o konwencję literatury aluzyjnej, podtekstowej, ukradkiem przemycającej treści o charakterze społeczno-politycznym. (A, s. 141-142)

Ale przecież, jeśliby w centrum „Kompleksu polskiego” umieścić te dwie miniatury historyczne, to perypetie degeneratów z kolejki do jubilera, zostałyby zakwestionowane i wręcz unieważnione. Dwie nowele z czasów powstania styczniowego oskarżają współczesność, a jednocześnie przywołują polskie świętości, pokazują, jakie jest zobowiązanie i stawka całej tej gry.

Że interpretacji mojej przeczą ustalenia Przemysław Kaniecki, iż opowieści o powstaniu styczniowym napisane zostały przez Konwickiego jako pierwsze, i dopiero potem oblepione ohydnyymi obrazkami ze współczesności? Że niezwykle wnikliwy krytyk, jakim był Wojciech Skalmowski uznał powieść za „schlebiającą” czytelnikowi (TD, s. 125)? Że wreszcie z atakiem na Konwickiego ruszył także Włodzimierz Bolecki i idąc tropem Antoniego Libery zapisał: „Literacka wirtuozeria Konwickiego powoduje, że czytelnik przestaje się zastanawiać, dlaczego w utworze objaśniającym współczesność, epoka Gierka zestawiona jest z powstaniem styczniowym, a nie na przykład z likwidacją PSL czy AK? Dlaczego czytamy o śmierci pułkownika Mineyki, a nie pułkownika Wilka-Krzyżanowskiego?” (WW, s. 92-93)

Zgoda, te rzeczy nie spinają się, ale nic nie poradzę na to, że z czytanego obecnie „Kompleksu polskiego” na plan pierwszy wybijają się właśnie te powstańcze epizody i jawią się jako siarczysty policzek wymierzony wielbicielom bełkoczących pijaczków z tej i wcześniejszych powieści Konwickiego. A subtelny obraz małżeńskiej miłości Trauguttów czyż nie jest okrutnym zwierciadłem, w którym widać marność erotycznych przygód bohaterów Konwickiego?

Twórca, który nie raz potrafił kwestionować własne kreacje, tutaj – trudno wyrokować, na ile świadomie – dokonywałby najmocniejszego chyba samozaprzeczenia.

(Z gestem tym mógłby rywalizować jedynie chyba finał filmu „Salto”, w którym nosiciel wielkiej tajemnicy z czasów wojny, Kowalski-Malinowski, miotający się po wsi, ukrywający się przed „złymi ludźmi” i zdający się posiadać wielką moc, okazuje się zaniedbującym domowe obowiązki mężem ściągany przez żonę i dzieci. W finale filmu, wywracającym na nice całą opowieść, wyśmiewał Konwicki nie tylko bohatera filmów Andrzeja Wajdy, pokoleniowego idola, jakim był Zbyszek Cybulski, ale i swoich nosicieli tajemnicy choćby z „Sennika współczesnego”. Wielki ten gest zakwestionowania własnej kreacji pokazuje jak wyrafinowanym twórcą jest udający pocziwinę i naturszczyka Konwicki i jak wieloznaczne dzieło tworzył.

„W pracy nigdzie miejsca nie zagrzeje – demaskuje Kowalskiego-Malinowskiego żona – w domu palcem nie kiwnie. Zjawi się tylko jak gość na dwa-trzy dni, kiedy go wreszcie ludzie przepędzą. (...) to darmożjad, proszę pana. Trzeba go szukać po całym kraju. W domu pękła rura od kanalizacji, wiatr wybił szyby w oknie, dziecko zachorowało, to on marynarkę na grzbiet i tyle go widziałam. Bo normalnie, proszę pana, to ja mu zamykam spodnie i buty”. (ODL, s. 219))

Przywołanie i trawestacja pamiętnika Mineyki oraz imaginowany epizod z życia Romualda Traugutta całkiem zasadnie były kwestionowane przez cenzurę, której początkowo złożył Konwicki swoje dzieło. Bo fragmenty te znaczyły odczytanie własnych dziejów, doświadczeń generacyjnych w mitycznej przestrzeni polskiego losu.

Nie jest to już szyderstwo czy samokrytyka ofiarowywane zwycięzcy przez przegranego młodzieńca, nie jest to opowieść zgwałconej ofiary, która dla pojednania z oprawcą wydobywa swą winę, jak zdawał się to czynić Konwicki w „Rojstach”, nie, ta opowieść z ducha „Gloria victis” pokazuje dobitnie, gdzie jest Polska i jak wygląda patriotyczna powinność.

Konwicki po przedstawianiu w poprzednich powieściach wielu wariantów swej partyzanckiej biografii, zanurzonej zazwyczaj w mętnych niedopowiedzeniach i samooskarżeniach, zawsze obarczonej

traumą niesłusznej, niepotrzebnej śmierci i zbrukania, tym razem historię żołnierzy wyklętych sytuuje w szeregu polskich powstań, w długim korowodzie bohaterów walczących o wolność.

Dumny patriota, choćby i podający szyję pod stryczek, staje się bratem bojownika z wileńskiej AK, a młodość Konwickiego opromieniona zostaje blaskiem polskiego mitu.

Czyta się te opowieści z powstania styczniowego jak tekst sakralny, świętą opowieść o Polsce i choć można w nich dopatrzyć się czasem stylistycznej wprawki na granicy pastiszu, to partie te jawią się dziś jako najmocniejsze kilkadziesiąt stron w całym tomie Biblioteki Narodowej. Konwicki jakby tłumiał swoje predylekcje do rozmywania wszystkiego w mętnej atmosferze peerelowskiego everymana, gadającego jakby wciąż był na gazie lub w stanie zamroczenia, i niewyraźnie dość rysującego swój status ni to współnika zbrodni, ni to niewinnej ofiary z pretensjami do całego świata... Tu wydobywa dźwięki czyste.

Nie ma już miejsca na sytuację niedomówień i niejasności, jak w poprzednich powieściach, w których bohater Konwickiego na wpół świadomy przechodził przez świat – raz po próbie samobójczej, kiedy indziej po tajemniczym wypadku i utracie przytomności czy też raz po raz zapadając w śpiączkę. Ten dawny bohater – ofiara własnej niepamięci był świetnym darem dla najeźdźców i naprawdę kreacja osobnika z zanikami pamięci albo ograniczoną orientacją w rzeczywistości była genialnym wynalazkiem literatury niewolników.

Bo do czasów „Kompleksu polskiego”, ba śladowo nawet jeszcze w samym „Kompleksie” **dzieła pisarzy peerelu były nie tylko negocjowaniem procentu prawdy, jaki można ujawnić, ale i ofertą skierowaną do władzy, jak uzasadnić nasze trwanie w niewoli.**

W „Senniku współczesnym” (1963) owszem, sygnalizowaliśmy kresową przeszłość, pamiętaliśmy o żołnierzach wyklętych i partyzantce antysowieckiej, ale obowiązkowo wstawialiśmy tam starego komunistę oczywiście po doświadczeniu wojny w Hiszpanii, które zgodnie z

oficjalnym imaginariem peerelu było gwarancją głębokiej ideowości i szczerości przekonań. I to ów komunista, Szafir powiada: „wiem, dobrze wiem, że coś po nas zostanie. Bo myśmy ludzi zbuntowali, bo myśmy ich nauczylili ambicji. Wybaczclic, że mówię, jak emerytowany propagandzista, za dnia nigdy bym nie śmiał, ale po nocy, i to jeszcze w takiej chwili człowiek śmielszy. I dlatego darujcie, że obrażam wasze uszy, lecz powiadam wam jeszcze raz, iż zbuntowaliśmy ludzi i to co najważniejsze, oni noszą w sobie, tego już nikt im nigdy nie odbierze” (SW, s. 295).

I przecież bohater „Sennika współczesnego”, pisarskie alter ego, powodowany partyjną lojalnością, staje w końcu ramię w ramię ze starym komunistą, przeciwstawiając się zabobonnym mieszkańcom wsi.

W „Kompleksie polskim” nie ma już mowy o kompromisie. Konwicki przed oczy stawia nam powieszzonego przez Rosjan świętego męża.

Miłość i sklep jubilera

„Kompleks polski” rozgrywa się w kolejce do jubilera, ale wizja miłości w powieści – wyjąwszy mistyczną prawie, pożegnalną noc Traugutta – nie ma nic wspólnego z dramatem „Przed sklepem jubilera” autorstwa Karola Wojtyły.

Sceny miłosne, uznane przez Przemysława Czaplińskiego w jego znakomitej monografii Konwickiego, za jedne z „najpiękniejszych w polskiej literaturze” (TK, s. 137), zaś przez Antoniego Libere sklasyfikowane jako „żenujące opisy erotyczne”, są specyficznie Konwickie.

Oczywiście pieszczoty uruchamiają, jakżeby inaczej, skojarzenia rustykalne. „Usta jej smakują rozgniecioną wiosenną trawą albo ulotną słodyczą soku wiosennej brzozy czy młodego klonu, piersi, jakie kiedyś

nosiły kobiety w latach mojej młodości” wieńczone są sutkami, które „smakują nie trawą nie sokiem, ale słońcem, lipcowym upałem, duszną godziną przedwieczera” (BN, s. 152).

Wcześniej, uwodząc praktykantkę ze sklepu jubilerskiego, przed odbyciem czegoś, co peerelowskie plakaty, ostrzegające przed chorobami W, określały mianem „przygodnych stosunków płciowych”, a więc seksu na podłodze na zapleczu sklepu, uciekał bohater do banalnych odniesień kosmicznych, że niby panna jest z nieba, potem szedł utartym szlakiem, że kogoś mu przypomina.

No i rzecz jasna, bo bez tego ani rusz, podobnie jak i w poprzednich powieściach bohater ma w sobie jakiś tajemniczy czar, który sprawia, że nie jest mu się w stanie oprzeć żadna kobieta. („Jesteś delikatny, czuły, zupełnie inny” – mówi mu Basia, BN, s. 157)

Szydził z tego Sławomir Mrożek lata temu w liście do Jana Błońskiego, dzieląc się wrażeniami z lektury „Sennika współczesnego”:

„Wszystkie kobiety występujące w powieści, niedostępne dla innych, zakochanych w nich do szaleństwa, mężatki i kochanki innych, szaleją za nim od pierwszego spotkania, on, jak przystało na zmęczonego bohatera, zimny jest, tylko z jedną się wikła, ale też trudnie, z wyższością, a jak idzie z nią a ona coś tam mówi, to on na głos wygłasza coś w rodzaju „nieźle rzecz prowadzi ta mała” albo „Chyba się zakochałem w tej kurwie”, aż ona pyta się, co on tak mówi do siebie. Tajemniczy jest do końca, że niech ręka boska broni i przez trzysta stron coś go gnębi, gryzie, marnotrawi, nudzi, tylko ani razu nie wiadomo, co ani jak, na rozum wzięwszy. Wszystko w trzykropkach, pełnych głębi (tylko wciąż nie wiadomo dlaczego) porzekadłach o losie, o tym, że „życie mnie rzeźbi”, „ty nie podskakuj, bo losu nie przeskoczysz” i tam dalej”. (List z 15 kwietnia 1964, BML, s. 107-108).

Trochę przesadzał Mrozek-zazdrośnik. Owszem, Justyna, co „Miała twarz uczennicy, twarz skądś mi dobrze znaną, jakby zapamiętaną z dawnego snu i zupełnie nie pasującą do ciała bezwstydnie nabrzmiałego kobiecością” już w czasie pierwszego spotkania, ofiarowując bohaterowi, Pawłowi jabłko mówi: – „Bardzo mnie pan intryguje. Podglądałam pana kilka razy” (SW, s. 48). Ale potem nie jest wcale lekko: „Z nagłą determinacją schyliłem się i pocałowałem ją w chłodne usta. Później przyciągnąłem do siebie i całowałem dłużej, pragnąc ożywić jej usta moimi wargami. Trwało to bardzo długo, nim zaczęła odpowiadać, nim odsłoniła drobne, smakujące jabłkami zęby” (SW, s. 125). No i mozoli się jednak Paweł i później:

„Była ciężka i bierna. Osłaniała się rękami cienkimi w przegubach jak łodyga słonecznika. Odrywałem kolejno te dłonie, a ona patrzyła z napięciem w niebo. (...) Powaliłem się na nią nieprzytomnie, lecz zwinęła się leniwie, obracając twarzą ku ziemi. Rozdygotanymi rękami odwracałem ją mozolnie z powrotem ku niebu, pokonywałem niezdarnie kolejne opory, aż wreszcie, kiedy już byłem na granicy uwolnienia, stało się to, co miało się stać. Stało bez jej udziału”. (SW, s. 198).

No i w końcu przecież Justyna nie wsiada do pociągu, by wyjechać razem z Pawłem i zacząć nowe życie.

Oj, lubi Konwicki w swych powieściach fantazjować sobie o miłosnych przygodach. Tak jest we „Wniebowstąpieniu”, którego bohater w dożynkowe dni ściga dziewczynę w opoczyńskim stroju, tak w „Nic albo nic”, gdzie wymyśla sobie milicjantkę Elżbietę, by po mętnych gadkach, współżyć z nią w nadmorskim pensjonacie. Ale dla równowagi, wojenne romanse i zauroczenia naznaczone są niespełnieniem. Podjęta na partyzanckim postoju, w wielkosobotnią noc, próba seksualnej inicjacji z Henią, którą brał każdy, kto chciał, kończy się klęską. Perypetie erotyczne dziewczęcego młodzieńca, zrazu nieco komiczne, nagle odsłaniają swe wstrząsające oblicze.

„zaszedłem aż na sam szczyt, gdzie były upalne mchy albo niskie kędzierzawe zioła pachnące czymś dzikim i zatopiłem rękę w gorącym wąwozie pełnym tajemniczości. (...) Wgramoliłem się wstrząsany spazmami na cienkie rusztowanie jej bioder, zacząłem bóść to gorąco przykryte skąpo żdźbłami ziół. Wtedy ona niemocnym ruchem ud i bioder zrzuciła mnie z siebie” (NAN, s. 46). Na argument, że innym dawała, odpowiada, że dawała, bo musiała. Taka była cena przeżycia Żydówki ukrywającej się na wsi. Ale nawet ten argument nie powstrzymuje Pawła. I gdy zasnęła: „Przywlokłem ją do siebie, rozpląsałem na pościeli, jałem się wdzierać w nią, wwiercać, wbijać i nie mogłem się dostać w sparaliżowane snem ciało mojej rówieśniczki. I w tej walce zaskoczyła mnie raptem jakaś słodycz, jakieś przejmujące ściśnienie, jakaś pulsująca rozkosz. (...) Potem wytarłem jej zakłęśnięty brzuch (...) I wydało mi się nagle, że Henia patrzy na mnie pobłażliwie spod nieomkniętych powiek”. (NAN, s. 51).

Młodzieńcze niepohamowane pożądanie i tragedia żydowskiej zalęknionej dziewczyny, gwałconej przez każdego chętnego: „wiedziałem, że zapamiętam ją taką na całe życie, że nieraz będę przyrównywał twarze innych kobiet utopione w mroku pode mną do tej twarzy ze starych smutnych ikon” (NAN, s. 46).

Jak traktowaliśmy dawniej erotyczne harce pisarza? Wyjąwszy epizody, które wpisywały się w wątki naprawdę serio, dla reszty **mieliśmy chyba uśmiech pobłażania wobec erotomana gawędziarza**, tym bardziej, że podbój seksualny stanowił jedną z głównych sprężyn fabuły.

Czytelnicy z dzisiejszą wrażliwością, zdeformowaną przez polityczną poprawność, z łatwością oskarżać mogą pisarza o redukcję kobiet do poziomu fantazmatów seksualnych i wytknąć mu chłopackową perspektywę. Z tym że dzieła Konwickiego są nie tylko świetnym materiałem do ideologicznych jazd nasyconych grantami genderowców, ale i bezcennym świadectwem potępianych dziś, czy wręcz kryminalizowanych odczuć.

Unikatowy może okazać się nie tylko zapis jego męskich marzeń erotycznych, ale i traktowana z rozbrajającą naturalnością homofobia – czy to w „Kalendarzu i klepsydrze” – w pojawiającym się i znikającym w poszczególnych wydaniach książki wątku o Wilhelmie Machu, czy w kapitalnym „Wniebowstąpieniu”, które eksploatuje wątek ciotowski, poczynając od pierwszej wyprawy na żołnierzyków pod lotnisko Okęcie (rymującej się cudownie z późniejszym o prawie czterdzieści lat „Lubiewem” Michała Witkowskiego), aż po spotkanie przy legendarnym grzybku-błaszaku, toalecie na Placu Trzech Krzyży będącej punktem warszawskich homoseksualistów, gdzie bohater taksowany wzrokiem przez jednego z nich, zamiast wdzięczności i dumy, czuje obrzydzenie:

„Światło rozhuśtanej przez wiatr lampy ulicznej liznęło jego twarz i zobaczyłem coś dziwnego, od czego zrobiło mi się nieprzyjemnie. Było to niby zwyczajne oblicze, może nawet proletariackie, ale jednocześnie dostrzegłem w tym uśmiechu, w tym przymrużeniu oczu albo może raczej w gładkości policzków, chociaż nie, chyba prędzej w jakimś tiku czy grymasie, dostrzegłem po prostu coś ogromnie nieprzyzwoitego.
– Czują ciebie, Misiu – rzekł Lilek. – Oni mają węch jak wyżły. My tu wpadamy często, choć nie praktykujemy. To dobrze robi dla renomy, dla tak zwanej opinii. Czy słyszałeś kiedy, żeby ktoś podejrzewał pedała o chuligaństwo, rabunek albo coś takiego? Ich tak czasem zgarnie tu milicja dla postrachu, ale zaraz puszcza, bo funkcjonariusze krępują się przesłuchiwać. Wiesz, oni potrafią stwarzać taką dwuznaczną atmosferę, że nawet starym brutalnym kapralom robi się nieswojo”. (W, s. 80).

No tak, ale nie miłosne i nie powstańcze fragmenty „Kompleksu polskiego” wybrał Konwicki do lektury na słynnym wieczorze autorskim u Walendowskich. Przeczytał tam bowiem nieoczekiwanie „list do przyjaciela” – faktycznie jeden z najsłabszych i wątpliwych fragmentów powieści. Jakies piętrowe aluzyjki, pokrętne konstatacje, rzeczywiście ezopowa mowa, ale o takim stopniu komplikacji, że czytelnik musi się domyślać, że przeciw czemuś nasz autor protestuje, komuś ma za złe. Jak w najgorszych peerelowskich przejawach cenzurowanej satyry, precyzyjnego sensu – nie uświadczysz.

Nic dziwnego, że ludzie oczekujący od książek obnażenia do końca prawdy o naszym zniewoleniu, mogli czuć się rozczarowani tą grą aluzji i niedopowiedzeń.

Spięcie Kuroń-Konwicki zrodziło fantastyczną i twórczą furję, z jaką Konwicki przystąpił do pisania następnej powieści.

„Mała Apokalipsa” poczęta we wściekłości i kipiąca żółcią przyniosła, owszem, pesymistyczny obraz społeczeństwa, które – otumanione – łązi po ulicach Warszawy wznosząc okrzyki „Polska-Polsza-Czomodan!”, ale nie tu Konwicki uderzał najmocniej. Już od pierwszych scen widać, że szydercza satyra obejmować będzie liderów opozycji demokratycznej i twórców, którzy za przyzwoleniem władz uprawiają rzekomo niezależną kontestacyjną sztukę. Duecik dysydentów odwiedza oto pisarza i namawia na samospalenie.

Jeśli by – idąc tropem proponowanym przez Przemysława Kanieckiego – literackim odpowiednikiem samospalenia byłoby otwarte wystąpienie przeciw Związkowi Sowieckiemu i nazwanie po imieniu niewoli, w jakiej się znajdujemy, to faktycznie Konwicki podejmuje to wyzwanie. I mówi: okay, chcieliście bym szedł na całość, bym dokonał samospalenia? To go dokonam, otwarcie wystąpię przeciw imperium, ale i was nie będę oszczędzał. Nikogo nie oszczędzę. A w szczególności napiszę, co myślę o całej tej naszej opozycji.

Dziwne, że tego krytycznego wobec elit aspektu „Małej Apokalipsy” nie docenił Herling-Grudziński, który patrzył na powieść głównie jak na przerysowany obraz zsovietyzowanego społeczeństwa i po paru miesiącach, gdy wybuchł cud „Solidarności” mógł z triumfem obwieścić, jak bardzo mylił się w swym pesymizmie autor „Małej Apokalipsy”. Ponadto jako zdeklarowany rusofil, pragnął Herling bardzo ostro przeciwstawić Sowiety Rosji, co akurat było sprzeczne z odczuwaniem Konwickiego, który widział imperialną ciągłość dziejów naszego agresywnego wschodniego sąsiada.

Notował Herling w „Dzienniku pisanym nocą” pod datą 24 sierpnia 1979: „Nie, Konwickiemu nie wyszła według mnie warszawska Apokalipsa u schyłku stulecia. Szloch i szopka są w jego powieści mechanicznie przemieszane, a nie wycieniowane i zbalansowane; i to przemieszane z takim zamiłowaniem do „zgrywy” i „nadrywu”, że mieszanka staje się niemal w całości (z nielicznymi i wtedy doskonałymi rzeczywiście wyjątkami) paradą narodowej hysterii. Kto powie, że Konwicki to właśnie miał na celu, popełni błąd. Nie mogło mu chodzić tylko o to. Tragigroteska fanta-historyczna przekształciła się, wbrew jego założeniom, w tragigroteskę fanta-histeryczną. Może w tym, co najwyżej, tkwi mimowolny znak ostrzegawczy”. (DPN1, s. 582)

Nie jest więc tak, jak referuje stanowisko Herlinga autor wstępu do wydania Biblioteki Narodowej, że chodziło głównie o stary spór sowietologiczny, czyli o to, ile Rosji w ZSSR, ale o ogólną ocenę dzieła.

Herlingowi-Grudzińskiemu odpowiadał w roku 1981 Andrzej Werner, broniąc wizji społeczeństwa i samopoczucia rodaków odmalowanych w „Małej Apokalipsie”. W polemicznym ferworze zapędził się autor „Polskiego, arcypolskiego” tak bardzo, że omawiając wpis Herlinga użył niegodnego szczególnie na sesji „Literatura źle obecna”, pasującego raczej do partyjnej prasy, argumentu. Cytuję: „Łatwo to napisać – z Neapolu” (LŻO, s. 166).

Dystopia, jaką autor rozsnuwa przed czytelnikami w „Małej Apokalipsie”, przynosi świat mniej przekonujący niżli ten rysowany chociażby we „Wniebowstąpieniu” (kto wie, czy nie najlepszej powieści

Konwického). Tam obcość bohatera wobec rzeczywistości, obojętność wobec zbiorowych państwowych rytuałów, antysystemowość osiągnęła mistrzostwo. Tutaj, pozbawione prawdopodobieństwa żarty na temat zaburzenia kalendarza czy bankructwa państwa, które musi czekać na zakup prezerwatyw w Pewexie przez szwedzkich turystów, by sfinansować zagraniczną podróż ministra, są dość toporne. Wiem, to groteska, ale według mnie bywała ona pod piórem Konwického znacznie ciekawsza, gdy trzymała się mocniej rzeczywistości, tak jak to miało miejsce w wizjach z poprzednich powieści.

Tłumy przebierańców, szemrane interesy, już nie tylko szara ale wręcz czarna kryminalna strefa – to wszystko świetnie wychodziło pisarzowi we „Wniebowstąpieniu”. Gdy wikłał swego bohatera w napad na bank, czy też jak w „Nic albo nic”, gdy czynił go podejrzanym (także we własnym mniemaniu) o seryjne morderstwa. Tam ta obcość wobec świata wybrzmiewała, niosła marzenie o wyzwoleniu się i ucieczce, tutaj w zasadzie dźwięczy pusto.

Ciekawe, że te właśnie groteskowe elementy „Małej Apokalipsy” traktowane są przez wielu czytelników jako najbardziej interesujące składniki świata kreowanego przez Konwického. Chociażby w opracowaniach szkolnych. Zwykło się bowiem patrzeć na tę powieść głównie jako antyutopię, jako wizję Polski pogrążonej w totalnym kryzysie, wybijając na plan pierwszy degradację materialną, degrengoladę polityczną i przemarsze tumanionego motłochu. Zwraca się uwagę, a to na czerwoną flagę narodową z malutkim białym paskiem, a to na elementy oficjalnych uroczystości zmierzających do przyjęcia naszego kraju w poczet Związku Sowieckiego.

Ale przecież „Mała Apokalipsa” jest o czymś innym. To, co czyni Konwicki ze swoim środowiskiem, sposób, w jaki je portretuje, czytane teraz z perspektywy lat, ukazuje rozpoznania niebanalne i stać się może przewodnikiem po literaturze i peerelowskich elitach. Elitach, które za lat parę wezmą odpowiedzialność za przyszłość Niepodległej.

Jest „Mała Apokalipsa” opowieścią człowieka zrozpaczonego, który własną twórczość rozwijał w upiornym rytmie zmian politycznych i kolejnych etapów wdrażania tu socjalizmu. I o tym pisze bez złudzeń.

Przed wszystkim atakuje innych. Czytelnicy z wypiekami na twarzach, odczytywali grubo szyte aluzje związane z Andrzejem Wajdą, Jerzym Andrzejewskim czy Wiktorem Woroszylskim, ale przecież rzecz dotyczyła też koncesjonowanej opozycji z Kuroniem i Michnikiem, całego salonu warszawskiego rzekomo bardzo niepokornego. Salonu, którego i Konwicki był gwiazdą.

„ – Mam ci, Hubert, wymienić tych, którzy szli całe życie pod rękę z rządem, udając, że idą osobno? A swe dziełka co sprytniejsi przyoblekli w szatki mód uniwersalnych, światowych frustracji, zachodnich melancholii i niby to lewicowych newralgii. Kiedy zsowiezykowaliśmy się do tego stopnia, że i u nas wybuchł kult niedozwoloności, dwuznaczny głód lizania zabronionego, żalosna rozkosz z pornografii politycznej ubranej w desusy aluzji, kiedy i u nas pojawiło się to zboczenie udziału w wychytrzonej kontestacji dla samousprawiedliwienia się za grzechy kolaboracji, to oni pierwsi, chciwi poklasku, żądni powodzenia, chwycili się nowej koniunktury i zaśmiecili sztukę fałszywymi gestami szczwanych Reytanów, skołowali tę naszą biedną sztukę, zdeptali w niej resztkę sumienia. Dlaczego ty przed nimi padasz plackiem, kiedy oni po twoich krzyżach wspinają się po złote jabłuszka, które sycą ich pychę? Po co kadzisz im uwielbieniem, kiedy ich los jest przeciwko twemu losowi?” (BN, s. 280-281).

Faktycznie: jest to świetne podsumowanie ćwierćwiecza układania się artystów z namiestnikami Rosji z PZPR. Pozór cnoty, pozór oporu, a wszystko przecież za państwowe pieniądze. Wysokobudżetowe filmy i prześladowania tychże polegające na tym, że pokazywane bywają w pobocznych sekcjach międzynarodowych festiwali. Niemale nakłady niepokornych książek i marszczenie brwi decydentów albo połajanka w partyjnym tygodniku. I także ten bunt połowy lat siedemdziesiątych mocno udawany: władza hodując opozycję może wylegitymować się pluralizmem wobec Zachodu, który daje kredyty.

Spowiedź?

Oczekiwali spowiedzi. Wcale nie zaczęło się to od Herberta, który w rozmowie z Jackiem Trznadlem chciał zadać „Tadziowi” kilka kłopotliwych pytań. Czynili to wcześniej także młodzi pisarze. Żalił się na to Konwicki z goryczą pomieszaną z wściekłością Stanisławowi Beresiowi, ale i notował już w „Kalendarzu i klepsydrze”.

W „Kompleksie polskim” z kolejkowiczów uformował groteskowy korowód, złożony z człowieka, który miał jego, Konwę, rozwalić za zdradę AK i z ubeka, który owego człowieka śledził. W bełkotach pijackich odtwarzał dziwaczne poplątanie polskich losów.

Faktycznie, te scenki z pijackich libacji to mistrzostwo świata w wykonaniu Konwickiego... Ale czy są one wystarczającą odpowiedzią na pytanie o uwikłanie polskiego pisarza w stalinizm? O kolaborację z najeźdźcą człowieka, który potem jak gdyby nigdy nic, trochę mędlawie i nieklarownie, ale jednak aspiruje do rządu dusz?

Mówił Zbigniew Herbert w „Hańbie domowej”: „niech pan sobie wyobrazi, że ja mam do nich ogromną sympatię, do Kuronia, do Modzelewskiego, natomiast nie mam sympatii do... (...) Nazwijmy go umownie Tadzio. Nie jest ani z rodziny lewicowej, komunistycznej, ani jego tata nie robił w Chinach rewolucji, nie był w partii komunistycznej Francji. Tadzio należał do AK, powiedzmy w Wilnie. I teraz (...) chcę usłyszeć wyznanie Tadzia. Opowieść w duchu realizmu socjalistycznego, a więc gruba, uproszczona, ordynarna, i wszyscy się na mnie obrażą... Więc po latach przychodzę do Tadzia, w 1956 roku, i mówię: Tadzio, po coś to wszystko robił? – I Tadzio mówi: no wiesz, byłem w lesie, wyszedłem z lasu, rozumiesz to chyba, kto jak kto, ale ty rozumiesz, i okropnie się bałem. No, bałem się. – Ja też się bałem, nie będę ukrywał. Strach ludzka rzecz. Tylko, co się robi ze strachem? Czy strach zaostrza inteligencję, czy strach niweluje inteligencję. Otóż, okazało się, że w wielu wypadkach strach niwelował inteligencję. Ale wróćmy do Tadzia. Tadzio mówi: tak się bałem, bałem, wiesz, tutaj Józek aresztowany, tu Władek aresztowany, na Sybir wywożą, do więzienia pakuja, trzeba mówić przy ujawnieniu, kto był dowódcą,

rozszyfrowywać pseudonimy. Ale pośród tej grozy są wspaniali ludzie, którzy piszą wiersze, powieści. Więc napisałem taki wiersz, że mnie zdradzono, i posłałem go do „Odrodzenia”. I wyobraź sobie, za tydzień czy dwa tygodnie, kupuję „Odrodzenie” i wiersz jest na trzeciej stronie. Potem list z redakcji, żebym się zgłosił. No to się zgłosiłem. Tam zapytali, czy ja już w czasie okupacji pisałem, ta rozmowa była bardzo przyjemna, redaktor bardzo kulturalny, kawy napiliśmy się...”. (HD, s. 281-282). No i rekonstruuje Herbert drogę takiego Tadzia – przez drobne zaprzaństwa, rezygnację z części prawdy, umizgi do władzy, potępienie starych i tych, co nie nadążali, aż do napisania powieści: „Wierszy to już mi się nie chciało, myślę sobie, na wiersze już nie jest czas, napiszę powieść. A trzeba było pisać powieści produkcyjne, realizm socjalistyczny już był otrąbiony, Sokorski i inni... (...) dostałem delegację, rozmawiałem z dyrektorem, zawsze miał dla mnie czas, bardzo dobry dyrektor, zawsze z towarzyszem pisarzem porozmawiał. I z przodownikami rozmawiałem, i wykroilem taką powieść produkcyjną... Więc chciałbym takiej odpowiedzi, bo ona jest oczywiście źle ociosana, ale i werystyczna. Nie chodzi o to, jak ktoś kogoś namawiał, ale jak to się odbywało krok po kroku, do niewinnego początku, suche następstwo faktów, a nie, co w duszy grało”. (HD, s. 283)

Te wszystkie żądania publicznej spowiedzi, wezwania do opisu z detalami swego upadku, odrzucał Konwicki jako bezpodstawne roszczenia wynikające z niskich pobudek. Młodym pisarzom zarzucał zamiłowanie do pornografii, starszym chęć własnego wybielenia się. Wyrazić skruchę? Żal? Pisał w „Kalendarzu i klepsydrze”: „ja się nie skarżę. Nikt mnie nie uwiódł ani omamił. Ja chciałem być zauroczony i wodzony na pokuszenie” (KIK, s. 130). I dalej: „Często oglądam się za siebie. Kiedy tylko się obejrzę, zimno idzie po skórze. (...) A co najdziwniejsze, nawet gdybym mógł jeszcze raz to wszystko przeżyć, wybrałbym tę samą drogę. Z tymi samymi idiotyzmami, pomyłkami i ogólną przegraną” (KIK, s. 135).

No i wreszcie, tak rozmawiając z niewidocznymi oskarżycielami, nie wytrzymuje: „Błagam was, nie bierzcie tego jako kwilenia. Nie usprawiedliwiam się przed wami, drodzy mali staruszkowie, młodzieniaszkowie, którym już nie staje z nadmiaru samowiedzy, prześmiewcze cipy, co po nocy skowyciecie z niedopieszczania”. (KIK, s. 136).

*Marząc o literackim sukcesie
próbował Konwicki
przelicytować wszystkich w
gorliwym wychwalaniu
sowieckich wzorców*

Autentycznie pienieł
się, gdy padały
pytania o
stalinowskie
zaangażowanie. Raz
bagatelizował rzecz,
że niby jaki tam z
niego socrealista,
innym razem rzucał

się na młodych z bluzgiem. Ale przecież jego „Władza” była dziełem naprawdę kuriozalnym, w którym cierpliwi ubecy prowadzili kulturalne rozmowy z ujawniającymi się akowcami, a zło kojarzyło się z towarzyszem Gomułką i odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym. Powieść ta była jednym z najbardziej żalosnych przykładów wiernopoddańczej pisaniny. Marząc o literackim sukcesie próbował Konwicki przelicytować wszystkich w gorliwym wychwalaniu sowieckich wzorców. Na nie najlepszego konia, na konia fatalnego, stawiał pisarz, i trudno dziwić się jego upokorzeniu i zdziwieniu w roku 1956, gdy do władzy w glorii męczeństwa powrócił Władysław Gomułka z wyklinanym przez Konwickiego hasłem polskiej drogi do socjalizmu. Oj, nasz bierutowski propagandzista marzący o literackich wawrzynach mógł czuć się lekko wystrychnięty na dudka przez Historię. Nic dziwnego, że na czas jakiś porzucił pisanie.

Od czasu do czasu w jego późniejszych powieściach pojawiał się więc ktoś, kto wypominał mu stare książki, ale w większości przypadków kompromitująca biografia tonęła w jakimś pokrętnym alkoholowo-somnambulicznym bełkocie.

A w kreowaniu sytuacji bankietowych był Konwicki rzeczywiście mistrzem niedościgłym. Knajpiane epizody, gdy nagle pijaczek przy barze okazuje się filozofem (często zresztą częstującym czytelników przemyśleniami a’la Konwicki), odtwarzanie rytuałów długiego knajpianego trwania i pochłaniania kolejnych kolejek, cały folklor pijacki, prawdziwy kościół ze swymi kapłanami – barmanami, szatniarzem, babcią klozetową – to faktycznie Konwickiego spécialité de la maison.

„ – Ludzie! – ryczę. Antychryst zstąpił na ziemię! Skoczył kulawo z sąsiedniej galaktyki. Może chciał gdzie indziej, ale trafił do nas.

Jakiś facet daje mi znaki.

– Tam jest toaleta, kolego. Za szatnią” (BN, s. 454)

Oczekiwali spowiedzi i spowiedź dostali. Co prawda nie spowiedź i wyznanie win samego Konwickiego, ale jego bliskich. W „Małej Apokalipsie” grzechami obarczył bowiem nie siebie czy swe alter ego, ono jest co najwyżej zmęczone i chore, ale lekko tylko kamuflowanych przyjaciół i konkurentów: umierającego Huberta, w którym dopatrywano się Woroszyńskiego, Rysia o cechach Andrzejewskiego i Władysława Bułata z biografią twórczą Andrzeja Wajdy.

To umierającego Huberta obciąża skazą fanatycznego zaangażowania: „ – No i co, mnichu schyłkowej epoki, Savonarolo końca starego świata? Marne miałeś życie, niziutkie bytowanie, biedny los. Zawsze byłeś przeciw i mówiono, że ciągle zmieniasz poglądy. Dławiłeś w sobie ludzkie odruchy, a może filisterskie przyzwyczajenia i w bliźnich tępiłeś mieszczucha oraz filistra. Mało kto cię kochał, wielu cię nienawidziło. Kochano cię byle jak, nienawidzono z całej siły. Najpierw byłeś za słabym, niezdarnym, marionetkowym reżymem przeciw wielkiemu, jeszcze wtedy sprawnemu narodowi. Potem byłeś za słabym, nędznym zhańbionym narodem przeciwko rozwielnionej arystokracji partyjnej, przeciwko wszechobecnej policji, przeciwko totalitarnemu państwu. Jakaż to logika moralna kierowała twoim postępowaniem, mój błady, sztywny, nieludzki wyrzucie sumienia?” (BN, s. 488).

Każę też spowiadać się Bułatowi-Wajdzie z całego swego dorobku:

„ – Kiedy przepatruję w pamięci swoje filmy, ogarnia mnie raptowna duszna panika. Przecież ten tłum powinien obalić gablotę i zlinczować mnie pośrodku wernisażu naszego byłego ministra. Popatrz, zacząłem od filmu, który szkalował AK, czyli środowisko, z którego wyszedłem, następnie skrzyłem obraz gloryfikujący to nieszczęsne AK. Gdy kraj zamarł w marazmie przygnieciony beznadziejną pół okupacją, pół swobodą, robiłem

kino psychologiczne, łapałem to i owo, starałem się utrzymać koło pewnych trendów światowych. A potem zrobiłem film pamflet na elitę intelektualną, później wykonałem coś, co woniało antysemityzmem, choć tym po prawdzie nie było. Czy nie odnajdujesz w tej mojej drodze żelaznej logiki.

– Robiłeś to, co inni też robili.

– Ach nie, mylisz się. Mój życiorys artystyczny to curriculum vitae paputczyka. Wydawało mi się zawsze, że robię to, co można w danej chwili. Ale przypatrz się bliżej temu konsekwentnemu ciągowi moich tez i konstatacji. Ja na kolorowo realizowałem linię partii, razem z nią kulałem od błędu do błędu. (...)

Widownia mnie kocha, bo jestem jednym z nich. Wiesz co, wiesz, powiem świętokradczo: Polskę zgwałcono. Długo broniła się, gryzła zębami, drapała pazurami, aż wreszcie uległa. I znalazła rozkosz w tej biernej, uległości. (...)

Ja także zostałem zgwałcony. Ruchają mnie bydlaki, a ja się poddaję i nie poddaję zarazem, pojękuje z cicha i gryzę, gdzie mogę. Jestem gwałcony i nie ukrywam tego, że mnie gwałcą”.
(BN, s. 376-377)

Nie dane jest nam więc wysłuchać tak mocnej spowiedzi samego Konwickiego. Zamiast tego prezentuje nam wyznanie swego wielkiego konkurenta – Andrzeja Wajdy alias Władysława Bułata. Owszem, tekst to zrodzony być może z ducha niezdrowej rywalizacji, ale **można go uznać za spowiedź dokonaną w imieniu pokolenia przez najwybitniejszego jego reprezentanta**. W imieniu pokolenia, o którym Maria Janion (rocznik 1926, tak jak i Wajda oraz Konwicki!), mówiła w wywiadzie udzielonym Jackowi Trznadłowi:

„Wielokrotnie mam nawet ochotę powiedzieć: bodajbyśmy się nie rodzili! To pokolenie między rokiem 25 a 30 – ono w ogóle nie powinno się było urodzić! Nasi rodzice popełnili wielki błąd okazując płodność biologiczną w tym okresie. Jakiś duch powinien ich był ostrzec... Patrząc na swoje życie uważam je albo za nieszczęśliwe, albo zmarnowane, stracone, i tego się nie

da już odkupić i naprawić. Choć czynię wielki wysiłek duchowy. Istnieje idea tragicznej ironii ciężącej nad polskim losem, więc może trzeba uznać to pokolenie za wyjątkowo obciążone tragiczną ironią polskiego losu. Na to pokolenie spadło wszystko, co zawsze wykrzywiało się nad losem polskim monstrualną ironią. I to co najlepsze, najciekawsze, jakże często ujawniało się w tej sytuacji przez heterotelię tragicznej ironii – rozmiłowania się intencji i osiągnięć, celów i tego, co się wykonało, dążąc do tych celów”. (HD, s. 109)

Z tym, że Janion, podobnie jak powieściowy reżyser, Władysław Bułat, gdy udzielała wywiadu (19 września 1981 roku) najpewniej źle się czuła, bo potem wycofała tekst i próżno go szukać w kolejnych wydaniach książki Jacka Trznadla.

Miałbyż rację Herbert negujący samodzielność polskich elit, wyśmiewający uroszczenia twórców?

Mówił Trznadlowi, a doskonale współbrzmi to ze spowiedzią Bułata:

„Jest mitem i samousprawiedliwieniem, że intelektualiści zrobili Październik, nic podobnego. Październik zrobił Językoznawca, który przeniósł się w zaświaty, i potem była walka diadochów, i albo miał być Malenkov, albo Chruszczuk, czy tam kto i brali się za łby, i tak nastał Chruszczuk. Ale trzeba było odfajkować tych wszystkich, co byli za Stalina, więc zadźgali Berię i pokazali, że są bardziej liberalni, żeby skończyć z zimną wojną i dostawać mięso, zboże. (...) To wielka pycha utrzymywać, że można wpływać na losy świata pisząc wiersze. Barometr nie zmienia pogody”. (HD, s. 298)

Barometr, czy raczej wiatromierz, taki rękaw, chorągiewka na wietrze...

Powiada Konwicki: „gdybym mógł jeszcze raz to wszystko przeżyć, wybrałbym tę samą drogę”. A więc – brak żalu, brak poczucia winy?

Różne warianty swego żywota przedstawiał we „Wniebowstąpieniu”, gdy jego bohater cierpiąc na amnezję stara się sobie przypomnieć, kim jest. Przymierza się więc do roli super gwiazdora muzyki pop na zagranicznym *tournée*, rzemieślnika z nizin, który rzuca żonę i wiąże się z panią docent, czy też pochodzącego z dobrego domu młodzieńca, który w czasie wojny podpisuje współpracę z gestapo.

Ale to wszystko odległe fantazje. Znacznie ciekawiej robi się, gdy Konwicki snuje wizje życiorysów stycznych z własnym. W kolejce do jubilera w „Kompleksie polskim” spotyka oto kuzyna Kaziuka, który został na Wileńszczyźnie, jest *gierojem socjalistyczieskawo truda* i zadowolony z siebie wielce pyta go:

- „– Może niepotrzebnie wyjeżdżałeś z Wilna?
- I jakie teraz byłoby moje życie?
- Takie jak moje. U nas kołchoz wielki. Za trzy dni nie obejdiesz. Wszyscy się zmieszczą.
- Jesteś zadowolony ze swego życia?
- Nie myślałem nigdy o tym. Mogłoby być marniej”. (BN, s. 146)

A Konwicki myślał i zanotował nawet te refleksje. W „Kronice wypadków miłosnych”:

„siedząc w rozdygotanym wagonie zacząłem z lękiem snuć swoje drugie, przypuszczalne życie, którego unikałem cudem, dzięki kaskadzie przypadków, szerokiej rzece różnych układów i incydentów z kloaki historii. Zobaczyłem siebie ze zgrubiałymi rysami, przedwcześnie postarzałego, może w otoczeniu chorowitych dzieci i zamężonej jak zwierzę żony bez określonego wieku. Wyobraziłem sobie, że nie ukończyłem szkół i studiów, że nie obrosłem w doświadczenia wynikające z obcowania na wyższych piętrach społecznych, że nie pojąłem sensu, a raczej bezsensu ogólnej wegetacji, że nie spełniłem

tęgo wszystkiego, co chciałem spełnić, że nie chwyciłem
łapczywie w dłoń tę, co chciałem osiąść, i że to wszystko
zdobyte, osiągnięte, wydarte życiu, losom, chaosowi nie
rozsyłało się w rękę jak szczypta popiołu z włosów ludzkich. A
więc stawałem się w tym nocnym, prowincjonalnym pociągu
kimś drugim, sobą innym, o prostych pragnieniach, poganianym
przez prymitywne instynkty, ślepym i nieczułym, ślepym na
odbicia dalekich dali, nieczułym na przejmującą i słodką,
dotkliwą i łaskoczącą, upiorną i wabiącą gorycz życia. Stawałem
się z wolna pozbawionym samowiedzy męczennikiem,
obłuskany z jedwabiu, ale i z syfilitycznych wrzodów
półczłowiekiem, wyjałowionym z bólu istnienia indywiduum.
Szedłem codziennie o świcie do pracy, harowałem ciężko osiem,
może dziesięć godzin, jadłem na śniadanie, obiad i kolację tę
samą zupę kartoflaną z rozgotowanymi resztkami peklowanego
mięsa. Po pracy siadałem na ganku, patrzyłem bezmyślnie za
przelatującymi szpakami. Czasem coś wypłem i uderzyłem
chore dziecko albo kwękającą żonę” (KWM, s. 56-57).

Piękny obraz, godny pozującego na jednego z nas, szarego człowieka,
przechodnia – skromnego, łączącego się z prostymi ludźmi... Nic
dziwnego, że spotykając u jubilera swojego sobowtóra z Litwy, Konwa
pada rażony zawałem serca.

„twarz jego skądś pamiętam, przypominam sobie te szare oczy
krótkowidza, grubawy nos i wąziutkie usta o barwie wiosennej
dżdżownicy”. I słyszy od Kaziuka: „– Znali my się tylko ze
słyszenia. Ale ja ciebie zrazu poznał. Zawsze mówili wszyscy, że
my podobni jak dwie kapli” (BN, s. 142)

No i dzieje się: „robi mi się duszno i zimno zarazem. Nie przeszywa
mnie raptowny ból, nie trzęsą się ręce, nie ciemnieje w oczach, ale
czuję, jakbym wolno z uczuciem przykrości zaczynał umierać”. (BN, s.
146)

Nie pierwsza i nie ostatnia byłaby to śmierć bohatera czy też o nią
otarcie w prozie Konwickiego. Samobójstwo popełniał i u progu
„Sennika współczesnego”, i podwójne (jako młodzieniec i starzec) w

„Kronice wypadków miłosnych”. Żegnał się z czytelnikami śmiertelnie chory w „Zwierzoczkoupiorze” i odchodził w ekstazie w „Nic albo nic”.

Spośród różnych zgonów bohatera najślabszy chyba artystycznie jest ten z „Małej Apokalipsy”. Ewidentnie nie domyka opowieści, obciążonej zbyt mocno groteską i unieważnianej raz po raz ironicznymi nawiasami. Okrzyk „Ludzie dodajcie sił. Ludzie...” urwany trzema kropkami, jakby bohater-narrator przestał notować, bo akurat obłany benzyną zapalił zapalnik, jest po prostu marny. Że niby co, że teraz już się pali, że przekształcił się w żywą pochodnię, dołączając do grona męczenników-samobójców? Niewiarygodna i dość niestosowna jest nie tylko sytuacja wypowiedzania tych słów, ale i całość historii.

Poprzedzona tandetną jak zazwyczaj u Konwickiego wstawką metafizyczną („Bóg istnieje. Bóg ulepiony z naszych fal elektromagnetycznych albo jakichś innych, fal rozedrganych naszym cierpieniem, naszą rozpaczą, naszym gniewem” itp.), jest uderzająco nieprawdopodobna: wiemy przecież, że autor żadnego samobójstwa nie popełnił, skoro napisał książkę, wiemy, że całe to męczeństwo, mimo religijnych ram to zwykła lipa i wymysł czysty. Szkoda. Akord końcowy brzmi nieczysto, potęgując fałsz całej książki: samospalenie pozbawione spowiedzi, zrzućcie grzechów na barki innych, kabotyńskie wpisanie wędrówki autora w ramy Drogi Krzyżowej.

A jednak, trzeba powiedzieć, Konwicki się starał. Podjął próbę pisania prozy bardzo blisko swej współczesności. W latach sześćdziesiątych, wobec nieistnienia poważnego projektu politycznego, proponował ucieczkę z systemu, pogardliwe jego odtrącenie, wycofanie się z gry, jednocześnie obnażając grę pozorów, fasadowość oraz przymus ten jawny, jak i skryty. Nasycił swą prozę przeczuciem końca i schyłku. Starał się wydobywać spychane w nieświadomość albo cenzurowane tematy.

Czasem brzmiało to dwuznacznie, rozciągnięte między odmową współudziału a kapitulacją, gnuśną rezygnacją. Czasem działało ożywczo.

Że sygnalizował tylko pewne rzeczy, nie dopowiadał, że poprzestawał na aluzji? Że wpisywał się z ręcznie w ramy koncesjonowanego buntu? Że bywał medium niedomykającym swych wizji? Że nie był w stanie sam dostroić się do niektórych objawień?

Tak, ale Polsce, wkraczającej w szalony czas „Solidarności” prowadzący ku Niepodległej, **ofiarował dwie wydane poza cenzurą powieści – „Kompleks polski” i „Małą Apokalipsę”, będące pokrętnym, ale jednak, wyznaniem win i ostrzeżeniem przed zdeprawowanymi elitami.**

Charakterystyczne, że i trzecia z emblematycznych powieści wydanych przed Sierpnem przez Niezależną Oficynę Wydawniczą – „Miazga” Jerzego Andrzejewskiego, niosła obraz degrengolady elit, które nie dojrzały do niepodległości. Ale to już temat na osobny szkic.

Andrzej Horubała

Fot. Krzysztof Dubiel dla Instytutu Książki

Teksty Andrzeja Horubały publikowane w serii „Wielcy pisarze PRL-u”, są elementem projektu realizowanego dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława Gruszków, pomysłodawców stypendium i darczyńców Fundacji Świętego Mikołaja.

Oznaczenia cytatów i przywołań:

A – Aneks 1978:19, Andrzej Lieder (Antoni Libera), Szansa „Zapisu”, s. 137-151

BML – Jan Błoński, Sławomir Mrożek, Listy 1963-1996, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004

BN – Tadeusz Konwicki, Komplex polski, Mała Apokalipsa, wstęp i opracowanie Przemysław Kaniecki, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2021

DPN – Gustaw Herling-Grudziński, Dziennik pisany nocą, t. 1-3, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011-2012

EIP – Stanisław Barańczak, Etyka i poetyka, Szkice 1970-1978, Instytut Literacki, Paryż 1979

HD – Jacek Trznadel, Hańba domowa, Świat Książki, Warszawa 1996

KIK – Tadeusz Konwicki, Kalendarz i klepsydra, Wydawnictwo Znak, Kraków 2020

KWM – Tadeusz Konwicki, Kronika wypadków miłosnych, Warszawa, Czytelnik 1974

LŻO – Literatura źle obecna (Rekonesans), Polonia, Londyn 1984

TK – Przemysław Czapliński, Tadeusz Konwicki, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1994

NAN – Tadeusz Konwicki, Nic albo nic, Czytelnik, Warszawa 1971

ODL – Tadeusz Konwicki, Ostatni dzień lata. Scenariusze filmowe, Iskry, Warszawa 1966

SW – Tadeusz Konwicki, Sennik współczesny, Iskry, Warszawa 1963

ŚNP – Julian Kornhauser, Adam Zagajewski, Świat nie przedstawiony,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974

W – Tadeusz Konwicki, Wniebowstąpienie, Iskry, Warszawa 1982

WW – Jerzy Malewski (Włodzimierz Bolecki), Widziałem wolność w
Warszawie, Polonia, Londyn 1989